

Przyszedł rok 1953. 24 lutego 1953 roku wykonano w Warszawie wyrok śmierci na gen. brygady A.E.Fieldorfie, ps. Nil, który w latach 1935 - 1938 dowodził batalionem Korpusu Ochrony Pogranicza KOP "Troki" a potem pułkiem KOP "Wilno". W tych latach ojciec służył pod jego dowództwem. 5 marca zmarł Józef Stalin. Zapanowała cisza, strach, niepewność jutra. Przyszedł rok 1956, 12 marca zmarł Bolesław Bierut. Śmierć Bieruta napełniła mnie smutkiem, przecież kochał dzieci (tak mi mówiono), fotografował się z nimi... Na wzór Stalina. W pochodach pierwszomajowych już nikt nie wznosił ich portretów ponad głowami maszerujących. Ludzie zaczęli się więcej uśmiechać i rozmawiać ze sobą, chociaż terror komunistyczny miał się dobrze. Ojciec nadal potajemnie słuchał stacji RWE. Zamordyzm trwał. Lokalna społeczność przetrwała, nikogo nie aresztowano, nie represjonowano, nikt też na nikogo nie donosił. Życie powoli wracało do normy, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Jednak te daty i atmosfera z nimi związana pozostały w naszej pamięci na zawsze.

Zbliżała się Wielkanoc. Wiosenne roztopy nieśmiało zieleniły pola, jeszcze leżał śnieg. Pod grubymi jego warstwami zaczynała płynąć woda, tworzyły się nawisy, chodziliśmy po nich, niektóre z nich zapadały się z trzaskiem, zmieniając kierunek ściekających rzeczulek. Formowaliśmy dla nich nowe koryta i budowali tamy. Po dokonaniu niezbędnych zmian, w dobrym nastroju, łykaliśmy powietrze jak życiodajny napój.

Na okres świąteczny stół z pokoju dziennego przenoszono do pełnej światła sypialni mamy. Okno od strony południowej wychodziło na szosę, przy której u dołu ogrodu rosły wysokie tuje. Pod oknem stało łóżko i toaleta z wysokim lustrem, dalej prowadziły drzwi do pokoju sypialnego ojca, pachniało w nim kamforą i tytoniem. Od strony zachodniej przez szyby zagłądały krzewy czarnego bzu.

Na święta przyjechała ciocia Helutka, najstarsza siostra Zosi, pierwsza z córek dziadków, dwudziestoparoletnia, urocza dziewczyna. Przywiozła ze sobą wyśmienite wędliny i prawdziwe, holenderskie kakao "Van Houten'a". W latach pięćdziesiątych to prawdziwe rarytasy. Suchą kielbasę myśliwską kroїła na tak cieniutkie plasterki, że można było zobaczyć przez nie Kraków. Kakao wystarczyło zaledwie na jeden kubek dla każdego. Pomimo obfitości jadła na stole, z tych świąt zapamiętałam wyłącznie czekoladowy napój z mlekiem. Długo jeszcze po wyjeździe cioci szukałam po kątach i ścianach zapachu jej wizyty, zapachu kakao.

Żadne znaki na ziemi i na niebie nie zapowiadały gwałtownego załamania pogody. Huragan przyszedł w nocy, znienacka. Po cichu. Nikogo nie obudził. Po cichu wyrwał dach stodoły i rzucił nim o płot. Na szczęście nie uszkodził budynku. Co drugie, rosnące wzdłuż szosy wysokie klony, na przestrzeni około jednego kilometra zostały wyrwane z korzeniami. Na polach uprawnych, poniżej drogi za łąką utworzyły się rozlewiska, w zagłębieniach terenu woda sięgała po pas. To wszystko. Lasy i sady nienaruszone, domy nieuszkodzone. Centrum miasta nietknięte. Dzień jak poprzedni, ciepły, słoneczny. Dla dzieci to frajda. Wpadaliśmy do wody po uszy, chodziliśmy po powalonych drzewach. Po tygodniu po huraganie ani śladu.

Pod koniec czerwca zaczynały się sianokosy. Łąkę leżącą blisko domu ojciec sam kosił. Przed przystąpieniem do pracy zawsze wykonywał znak krzyża.

Sadowiliśmy się na skraju łąki. Lubiliśmy przypatrywać się jego pracy i słuchać odgłosów uderzeń oselki o kosę. W południe mama przynosiła posiłek, przeważnie kwaśne mleko i świeży chleb. Na drugi dzień pomagaliśmy w grabieniu i przy ustawianiu stogów. Z przydomowej łąki ojciec zbierał

tylko jeden pokos, do jesieni pasły się na niej krowy.

Prawdziwe, wielkie sianokosy przebiegały daleko od domu a po wysuszeniu siano zwożono zaprzężonymi na dwa konie drabiniastymi wozami. Cała nasza trójka wchodziła wtedy do stodoły. Podawane na widłach przez ojca siano odbierał Synek, prznosił je w każdy kąt i przesypywał solą. Zosia i ja pomagałyśmy przy ubijaniu siana. Trwało to do późnych godzin wieczornych.

Raz pozwolono nam na spanie na sianie, mama nie spała wtedy całą noc.

Początek lata to pierwsze owoce. W sadzie pod lasem, po wysokich drzewach czereśni skakaliśmy jak wiewiórki. Po napchaniu brzuchów skakaliśmy z najniższej gałęzi na ziemię lub osuwali po pniu. Pewnego dnia Synkowi nie udało się bezpiecznie zejść na ziemię. Zaczepił się spodenkami o drucianą siatkę okalającą pień drzewa i zawisnął głową w dół. Próbowałam mu pomóc, podpowiadałam co ma robić, przekazywałam mu całą wiedzę doświadczonego wyjadacza drzew, bez rezultatu.

- Idź po tatusia - poprosił Synek.

- Złap się za siatkę, podnieś się za ręce do góry - pouczałam dalej.

Próbował.

- Idź po tatusia, nie dam rady - jęknął.

Ojciec na podwórku ciął ręczną piłą duży kłoc drewna. Podeszłam powoli, stanęłam ze spuszczoną głową i trzymając palce w zębach bezmyślnie patrzyłam na opadające wióry, które tworzyły mały kopczyk pod nogami. Nie chciałam przeszkadzać. Zaczęłam dreptać w miejscu i już zamierzałam wrócić do Synka, kiedy ojciec zapytał:

- Co chcesz?

- Synek powiesił się na drzewie - cicho odpowiedziałam.

Ojciec odpalił jak rakietą, jednym susem pokonał piętnaście metrów i złapał Synka. Podniósł mu głowę, rozplątał z drutów i postawił na ziemi. Widziałam jak bratu krew odpływa z twarzy. Po chwili poczuł się dobrze. Ojciec pogłaskał go po głowie, upewnił się, że wszystko jest w porządku i odszedł do swoich zajęć. Na mnie nawet nie spojrzał.

Latem lubiliśmy wdrapywać się po stromo opadających zboczach Świętej Góry. Dochodziliśmy do niej, przebiegając tuż tuż przy ogrodzeniu domu, drogą leśną otoczoną wysokimi świerkami.

Przy ścieżce prowadzącej na szczyt znajdowało się wiele figur i kapliczek z XVII i XIX wieku. Największa kaplica znajdowała się pod szczytem góry. Za ogrodzeniem z drewnianego płotu stały kamienne rzeźby świętych - wizja Ogrodu Oliwnego.

Naszą pierwszą wędrowkę rozpoczęliśmy się od figury św. Floriana. Następne wspinaczki zaczynały się skąd popadnie. Wejście na sam szczyt góry ułatwiały kamienne schody.

Przy każdej stacji Drogi Krzyżowej odpoczywaliśmy. Po złapaniu oddechu, w absolutnej ciszy, z wielką powagą i respektem wchodziliśmy do kapliczek, do miejsc magicznych, świętych. (Wypełniając nakazy wiary, o bezgrzeszne zachowywanie się w miejscach świętych dbała Zosia). Kapliczki były zadbane, w pełni wyposażone, z wyraźnie widocznymi kolorowymi malowidłami. Niezwykłym przeżyciem stawało się odwiedzanie kaplicy Świętego Grobu i kaplicy Ostatniej Wieczerzy.

Na szczycie góry leżała masywna, żelazna wieża triangulacyjna. Łaziliśmy po niej sprawdzając, czy utrzymamy równowagę i opanujemy lęk wysokości. Pomysłów z narażaniem życia nam nie brakowało.

Na początku lat osiemdziesiątych wróciłam w te strony, przyjechałam z synem. Zdążył zobaczyć podupadającą świetność Kalwarii.

Nadszedł XXI wiek. Kompletna ruina. A przecież przychodzili tam wierni, odbywały się nabożeństwa. Komu to przeszkadzało?

Od połowy lipca do połowy sierpnia trwały żniwa. Pomagaliśmy przy zbieraniu pszenicy i wiązaniu jej w snopki, później w równych szeregach układaliśmy w kopy na "lalkę". Do czasu wyschnięcia snopków kopy stały na polu około tygodnia, przez ten czas pomieszkiwaliśmy w nich i bawili się w chowanego.

Młócenie zboża przebiegało bez zakłóceń. Obstalowana wcześniej przez ojca młockarnia - cała drewniana - pracowała napędzana silnikiem elektrycznym za pomocą koła pasowego i pasa transmisyjnego. Na wytrząsaczach oddzielała słomę od ziarna i plew.

Po stabilnym ustawieniu maszyny rozpoczynały się omłoty. Synek ze stogu podawał snopki mamie, która biorąc je na widły podawała ojcu stojącemu na młockarni. Ojciec je odbierał, przecinał powróśło i wpuszczał zboże do maszyny kłosami do przodu. Ziarno wpadało do worków zapiętych z tyłu a plewy wychodziły z boku maszyny. Po wymłóceniu słoma wylatywała potargana i połamana. Młócenie trwało kilka godzin. Mąkę dziadkowie przechowywali w drewnianych skrzyniach, w domu w podwójnym pokoju na piętrze. Słomę wykorzystywali na podściółkę dla krów. Mijała pierwsza połowa sierpnia.

Na uroczyste nabożeństwo odpustowe, które tradycyjnie odbywało się corocznie 15 sierpnia w Bazylice Wniebowzięcia NMP w Krzeszowie, mama przygotowywała nas na długo przed wyruszeniem w drogę. Musieliśmy być wyelegantowani "jak do kościoła" i odpowiednio ubrani na wędrówkę przez las. Do torby, którą zamierzała taszczyć, wpakowała zapasowe fatałaszkę i coś na ząb na cały dzień. Czekala nas - w jedną stronę - pięciokilometrowa marszruta.

W trasę wyruszyliśmy o świcie, odszykowani jak stróż w Boże Ciało. Mama, głównodowodząca, dumna jak paw, z wysoko uniesioną głową i jak przystało na tę okoliczność od stóp do głów wygalowana, szła pierwsza. Przecierała szlak. My, za nią, ubrani w białe bluzki i w białych skarpetkach, uporządkowani gęsiego, deptaliśmy jej po piętach. Przebrnięcie pięciu kilometrów miało dla nas posmak wręcz bohater-skiego czynu. Z niecierpliwością czekaliśmy na zakończenie tej eskapady.

Po wyjściu z lasu ukazała się na horyzoncie ogromna Bazylika, europejska perła baroku. Przepiękne, urokliwe miejsce zrobiło na nas niezwykle wrażenie, zachwyciło.

Odpust zgromadził tłumy pielgrzymów i wiernych. W pobliżu świątyni rozstawiono kramiki, wyeksponowane na nich kolorowe zabawki i pamiątki, słodczyce i błyskotki przyciągały wzrok. Przy każdym stoisku było gwarno i tłoczno.

Zachwycone dzieciaki skakały wokół straganów wznosząc radosne okrzyki. Dokazywały trawione gorączką posiadania byle czego, byle mieć. Atrakcji nie brakowało. Dla dzieci stworzono raj na ziemi, dla dorosłych istne piekło.

Od mamy otrzymaliśmy wykonane z trocin kolorowe piłeczki na gumce a Synek dodatkowo wybłagał - dla mamy - domek z kolorowych andrutów. Odwdzięczyliśmy się uśmiechem.

Rozentuzjasmowani, umęczeni jak diabli, pod wieczór stanęliśmy pod domem.

Często w pamięci przywołuję te chwile, których nastrojowość oddał Janusz Laskowski w piosence ze słowami Ryszarda Ulickiego "Że najbardziej mi żal... "

Kolorowych jarmarków,  
Błaszanych zegarków,  
Pierzastych kogucików,  
Baloników na druciku  
Motyli drewnianych,  
Koników bujanych,  
Cukrowej waty,  
Z piernika chaty.

*Decyzją władz komunistycznych w 1955 r. dzień Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny – Matki Boskiej Zielnej przestał być oficjalnym świętem i dniem wolnym od pracy. Święto zostało przywrócone przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej w 1989 roku.*

Z młodych ziemniaków cieszyliśmy się już pod koniec czerwca, gdy tylko zaczynały kwitnąć. Wykopywał je Synek, z dzieci potrafił to robić najlepiej i umiał. Po wzruszeniu ziemi motyką ostrożnie wybierał największe bulwy. Małe, nienaruszone przesypywał ziemią i zostawiał do głównego zbioru. Po napełnieniu wiadra do połowy, targał owoce swojej pracy z powrotem do domu.

Pole kartofli leżało poniżej drogi, za łąką. Przed koszeniem trawa nie mogła być stratowana. Synek brnął przez wysoką, bujną trawę, która kryła jego postać. Z góry patrzyłam na jego jasnowłosą czuprynę, kiedy balansując między wiadrem a dużą motyką dzielnie torował sobie drogę. Walka była nierówna. Dzieściolitrowy kubek przeginał kłosa i pokładał je. Motyka uniesiona w górze co jakiś czas ześlizgiwała się z ręki i uderzała w trawę. Stopy, jedna za drugą rysowały wąską ścieżynkę. Drogę powrotną zdradzał nowy zielony korytarz.

Ojciec wracając z pracy zawsze spoglądał na pola. Jeden rzut oka wystarczył i... znieruchomiał. Zaczęły się dziecięce "podkopki".

- Czy nie możecie chodzić polną ścieżką a jedynie przez łąkę, na skrót? - zdenerwował się ojciec i cicho pod nosem zaklął po niemiecku.

- Nie denerwuj się, Władus. Widzisz? - łagodziła jego wzburzenie mama, jednocześnie wskazując ręką na stół. Na stole stała miska pełna parujących pyszności polanych śmietaną i posypanych świeżym, pachnącym koperkiem.

Po skoszeniu trawy, jeszcze przez dwa tygodnie, bez narażania się na niechciane uwagi, Synek przynosił ziemniaki do domu. Po ścieżkach polnego skrzata pozostały wspomnienia.

Na jesieni, kiedy pędy ziemniaków zaczynały obumierać, przystępowano do wykopków. O ich dokładnym terminie decydował ojciec. Sprawdzał, czy bulwy ziemniaków osiągnęły już pełną dojrzałość - pod naciskiem kciuka skórka nie mogła się ścierać. Na określony dzień zamawiał sprzęt i ludzi do pomocy. Sami nie dalibyśmy rady uporać się z nawałem pracy w ciągu dwóch dni. Ziemniaki musiały zostać wykopane, zebrane, załadowane na wóz i przewiezione do piwnicy.

Pod wieczór ojciec rozpałił na łące małe ognisko, w pobliżu ułożył niewielki stosik gałęzi. Trawa pełniła rolę siedziska. Otrzymaliśmy po kilka ziemniaków tej samej wielkości. Nadeszła pora pieczenia.

- Nie wrzucajcie na razie kartofli, dam sygnał, kiedy będzie można - zagał rozmowę ojciec.

- Czemu, czemu? - ciekawie kontynuowaliśmy pogawędkę.

- Poczekamy, aż gałęzie zaczną się żarzyć i wytworzy się popiół.

- Jak będzie popiół, to zrobi się zimno - ciągnęła Zosia.

- Popiół jest ciepły, Zosiu. Zapewnia odpowiednią i równomierną temperaturę do pieczenia kartofli - tłumaczył cierpliwie ojciec.

My tu gadu-gadu a czas leci. Słońce w górach zachodzi szybciej. Gdyby w tym momencie była pełnia księżycy, jedno z nas na pewno by zawyło.

Długie oczekiwanie na popiół to dla mojego brata jak czekanie na Godota. Podbiegł do kopczyka, po wybierał cieniutkie gałązki i wrzucił je demonstracyjnie do ogniska. Ognisko zapłonęło jasnym ogniem. Zrobiło się ciepło i wesoło. Ojciec popatrzył na niego z aprobatą. *Ten chłopak, to ma łeb!* Pomyślał zapewne ojciec, ale głośno tego nie powiedział.

- Brawo, Synku! - dyskretnie uśmiechnęłam się do niego.

Produkcja popiołu zaczęła przebiegać sprawniej i szybciej. W skupieniu i ciszy patrzyliśmy na słabnące języki ognia. Ostatnie smugi wąskiego dymu unosiły się pionowo do góry, zapowiedź ładnej pogody na następne dni.

- Kartofle! Raz, dwa, trzy!- nagła, z szelmowskim uśmiechem, głośna komenda ojca zabrzmiała jak huk z armaty i odbiła się echem po lesie. Poderwaliśmy się na równe nogi. Mało brakowało a stracilibyśmy nie tylko wszystkie ziemniaki, ale i uciekli ze strachu, gdzie pieprz rośnie!

Przestraszeni na sto dwa, z histerycznym wrzaskiem, na polecenie przywódcy czeredy wrzuciliśmy od razu całą baterię do ogniska. Gdzie popadnie. Wzbity do góry popiół otoczył nas brudnoszarą chmurą, trzaskające iskry wpadały do włosów. Trafione w sam środek ogniska ziemniaki zaczynały się palić. Wpadliśmy w panikę.

- Spokojnie, dzieciarnia! Uporządkujmy ten bałagan - przyjacielski, rozbawiony głos ojca przerwał harmider.

Pomógł nam doprowadzić ognisko do jako takiego ładu, sam odszedł na jakieś dwa kroki i położył się na trawie. Był zmęczony, przysypiał.

- To potrwa od dwudziestu do trzydziestu minut - dawał do zrozumienia, że bacznie się przygląda.

W popiele ziemniaki opiekały się powoli. Zawzięcie grzebaliśmy patykami w ognisku, wyszukiwali i sprawdzali, czy są gotowe do jedzenia. Po wyjęciu gorące parzyły dłonie, dmuchaliśmy w nie i otrząsali z popiołu. Przy próbach przełamywania ich na pół, więcej ziemniaków fruwało po polu, niż wpadało do ust. Nie zjedliśmy wszystkich.

Ojciec postanowił nie wygaszać ognia. Przesiąknięci zapachem ogniska i pieczonych ziemniaków, trzymając się kurczowo ojca, w kompletnych ciemnościach trafiliśmy do domu. Mama czekała z kolacją. Na drugi dzień ognisko wydzielalo jeszcze ciepło, kończyliśmy biesiadę, kończyliśmy dzieciństwo.

"Czujesz? Ogniskiem pachną te pogańskie lata,  
Gdy iskrami trzaskały żagwie jałowcowe  
I dym wełnistym kłębem za wiatrem ulatał,  
I marszczyły się z żaru kartofle surowe.

.....  
Tak się ogień, popioły i smutek poznało".

*Fragment wiersza Juliana Tuwima "Kartofle"*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Asocjacja, dodano 02.09.2018 15:07

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).